

Afryka dzika

Mirosław P. Jabłoński

Do Afryki ciągnęło mnie od czasu przeczytania *Przygód Tomka na Czarnym Ładzie* Alfreda Szklarskiego. Ponad czterdzieści lat minęło jak z bicza strzelił, i oto ląduję w Johannesburgu w RPA.

Jedziemy autostradą prowadzącą z Johannesburga do Pretorii, inaczej Tshwane, stolicy RPA. Najważniejszym miejscem starej Pretorii jest Church Square, na środku którego stoi monumentalny pomnik Paula Krugera, pierwszego prezydenta Republiki Południowoafrykańskiej. Plac otaczają XIX-wieczne budynki, wzniesione w okresie gorączki złota – m.in. Stary Ratusz, African Reserve Bank i Pałac Sprawiedliwości, w którym sądzono Nelsona Mandelę.

W zachwalanej przez przewodnik „Pascala” restauracji pustki, w tym także w kuchni. Po długich pertraktacjach z kelnerką wypijamy po dwa piwa, jak w piosence *Sunday Morning Coming Down* Johny’ego Casha, i ruszamy w drogę.

Głodni i zmęczeni po całonocnym locie, wleczeni się w niemożliwym upale w stronę siedzib prezydenta i rządu, mieszczących się w Union Buildings, najlepszym ponoć dziele brytyjskiego architekta sir Herberta Bakera. Wstęp do otaczających ogrodów jest wolny, można swobodnie

obejrzeć zabudowania i rzeźby, ale większość z nas zalega po prostu w cieniu najbliższych drzew.

Afrykańskie mrozy

Po nocy w hotelu wyruszamy na północ ku Messinie. Droga asfaltowa, po jednej stronie kwitnące jacarandy (jest wrzesień, tutejsza wiosna), po drugiej baobaby podobne butelkom nie tylko z kształtu, ale i z funkcji, gdyż pojedyncze drzewo potrafi zmagazynować nawet 120 tys. l wody, by przetrwać porę suchą.

Stajemy w drodze na pierwszy lunch, do czego nasza turystyczna ciężarówka jest znakomicie przystosowana. Z boku wysuwany jest szeroki stalowy blat, nad nim rozciągane jest zadaszenie, w lukach i lodówce kryją się wiktuały, a w zbiorniku woda. Prace kuchenne nadzoruje Gladman, kucharz z Zimbabwe. Nasza 20-osobowa grupa podzielona jest na cztery drużyny – codziennie inna odpowiedzialna jest za przygotowanie lunchu, mycie naczyń, sprzątanie pojazdu oraz wyładunek i załadunek materacy i namiotów. Naukę ich rozstawiania prowadzi wieczorem kierowca Piliani – imię pochodzi od słów „Be alive”.

Na terenie luksusowego kempingu w Messinie znajduje się 50-metrowy basen z ciepłą wodą, i tam też koncentruje się wieczorne życie towarzyskie. Zaabsorbowanego ciepła nie starcza na długo, noc jest przeraźliwie zimna i większość z nas szczęka do rana zębami w cienkich śpiworach.

Wielkie Zimbabwe

Rano wyruszamy ku niezbyt odległej granicy RPA-Zimbabwe, przebiegającej wzdłuż Limpopo. Sceny rozgrywające się na przejściu przypominają telewizyjne relacje ukazujące uchodźców wojennych, co nie jest dalekie od prawdy, gdyż stanowi wynik wojny ekonomicznej wydanej własnemu narodowi przez prezydenta Roberta Mugabe. Zardzewiałe rowery, dychawiczne motocykle, zdezelowane samochody osobowe, autobusy i ciężarówki objuczone są wszelkimi możliwymi dobrami kupionymi i znalezionymi w RPA, wiezionymi do pogrążonego w kryzysie gospodarczym Zimbabwe, gdzie hiperinflacja wynosi 13,2 miliarda procent, ceny podwajają się co 31,2 godziny, a w obiegu są banknoty o nominale 100 bilionów dolarów zimbabweńskich. Miejscowi sprzedają je po dolarze USA sztuka.

Celnicy postanowili rozładować towary piętrzące się na dachu stojącego przed nami autobusu. Operacja zanosí się na co najmniej dwie godziny, gdyż lodówki, dywany, pralki i tłumoki piętrzą się na wysokość dobrych paru metrów, idziemy więc na przerzucony nad rzeką most kolejowy, by zrobić sobie zdjęcia przed tablicą „LIMPOPO RIVER”. Woda w dole zielona i niezbyt imponująca.

Wczesnym popołudniem udaje się nam sforsować granicę, po czym zmierzamy ku ruinom tajemniczego Wielkiego Zimbabwe, w którym dopatrywano się mitycznego Orfiru lub Puntu. Te największe na południe od Etiopii kamienne

budowle wzniesiono w XI-XV w. z nie wiadomo skąd pochodzącego materiału. W XVI w., znalezione przez Portugalczyków, były już opuszczone. Składają się ze „Świątyni” z tajemniczą kamienną wieżą 12-metrowej wysokości, „Akropolu”, będącego wkomponowaną w pobliskie wzgórze twierdzą, i „Kompleksu w Dolinie”, czyli zbiorowiska owalnych i okrągłych budowli – wszystko z kamiennych „cegieł” nie wiadomo jakim sposobem obrobionych na wymiar.

Z ruin wygania nas zachód słońca. Kierowca nie może po ciemku znaleźć drogi. Wreszcie po dwugodzinnym krążeniu po afrykańskich wertepach docieramy na nocleg do Antelope Park.

Safari w Matobo Park

Rano wjeżdżamy do Bulawayo, drugiego co do wielkości miasta Zimbabwe. Jego nazwa pochodzi od słowa *gubulawayo*, co w języku ndebele oznacza „miejsce masakry” i upamiętnia wydarzenia z 1930 roku. Pomimo tych groźnych konotacji mieszkańcy są przyjaźnie nastawieni – nie tylko pozwalają robić sobie z nimi zdjęcia, ale sami chętnie pozują.

Jest niedziela, odwiedzamy malowniczy targ na głównej ulicy miasta, a potem do małej szkoły zwabiają nas religijne śpiewy. Wewnątrz odbywa się jakiś obrzęd inicjacyjny – stojący w kręgu ubrani na biało mężczyźni i kobiety

śpiewają, klaszczą i kołyszą się rytmicznie, otaczając wijących się na klęczkach chłopca i dziewczynkę.

Dwoma land roverami zajeżdżamy do niezbyt odległego od Bulawayo Matobo National Park, do którego wpuszcza nas uzbrojony w AK-47 strażnik. Tablice przed wjazdem grożą kłusownikom śmiercią na miejscu.

Jedną z osobliwości parku są niezwyklego kształtu formy skalne oraz naskalne rysunki ludu San (Buszmenów) sprzed prawie 2000 lat. Nas bardziej interesuje możliwość spotkania z przedstawicielami afrykańskiej „wielkiej piątki”, czyli z lwem, nosorożcem, słoniem, lampartem i bawołem. W Matobo nie ma lwów ani bawołów, ale w towarzystwie uzbrojonego tropiciela podchodzimy nosorożce. Wyprawa dostarcza niezapomnianych wrażeń, gdyż zbliżamy się do żerujących bestii na odległość około 30 metrów. W szklach lornetki zwierzęta wydają się być o wyciągnięcie ręki, a nasz przewodnik podsyca jeszcze napięcie, mówiąc nam, byśmy na wypadek szarży nosorożca padli na ziemię lub wspięli się na drzewa, by umożliwić mu strzał. Ponieważ otaczają nas rachityczne i kolczaste akacje, to rada – przynajmniej w części – wydaje się niewykonalna. Na szczęście nosorożce nie zainteresowały się nami, a ja w drodze powrotnej pytam tropiciela, ile razy musiał strzelać do zwierząt w obronie własnej lub turystów? Okazuje się, że trzy – zabił nosorożca i bawołu, a słonia chybił! Po usłyszeniu tej odpowiedzi postanawiam nie ciągnąć tematu, czując zadowolenie, że to safari mamy już za sobą!

Wodospady Wiktorii

Rów tektoniczny na granicy Zambii i Zimbabwe przecina koryto rzeki Zambezi, tworząc jeden z siedmiu naturalnych cudów świata, wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Wodospad ma szerokość 1,7 km, a wysokość 111 m, co sprawia, że w porze deszczowej jest niewidoczny z powodu skrywającej go mgły, zaś huk spadającej wody słychać w promieniu 40 km! Oddaje to miejscowa nazwa *Mosi-oa-Tunya*, „Dym, który grzmi”.

Okolica zapewnia szereg atrakcji – rafting na Zambezi jest jednym z najbardziej emocjonujących i niebezpiecznych na świecie, z bystrzami o skali trudności 5 i 6. Opcje są dwie – można płynąć mniejszym pontonem i wiosłować samodzielnie, albo większym, oddając swoje życie w ręce doświadczonych wioślarzy. Wokół nas uwijają się kajakarze, mający za zadanie ratować tych, którzy wypadną za burtę, w tym także przed atakami krokodyli, do czego służą kije baseballowe – mają nimi walić nachalne bestie po łbach!

Równie ekscytujący jest skok na bungee z mostu granicznego z Zambią, a jeśli ktoś się już na to odważy, w drodze powrotnej musi uważać na spacerującą kładką pod mostem pawiany.

Po południu wyruszamy na rejs statkiem po górnym biegu Zambezi. Drinki na pokładzie wliczone są w cenę wycieczki, co sprawia, że obserwowane przez nas krokodyle i hipopotamy wydają się dużo większe niż są w istocie.

Na rzece i na sawannie

W Botswanie, podczas rejsu po rzece Chobe przepływającej przez park narodowy o tej samej nazwie, udaje się nam zobaczyć kolejne zwierzę z „wielkiej piątki” – zamieszkujący sawanny bawół afrykański ma rogi o kształcie przypominającym fryzurę Pipi Langstrump, ale na tym podobieństwa z bohaterką książki dla dzieci się kończą. Nigdy nie udomowione potężne zwierzęta ważą 500-900 kg, w związku z czym jesteśmy zadowoleni, że od pasącego się na brzegu rzeki stada dzieli nas szeroki pas wody, na którego skraju wygrzewają się krokodyle.

Nasz sternik prowadzi płaskodenną łódkę środkiem nurtu, gdzie woda jest najgłębsza. Ma to nas uchronić przed atakami okupujących odnogi i zakola rzeki hipopotamów, najbardziej niebezpiecznych zwierząt Afryki. Wbrew powszechnej opinii, choć najbliższej spokrewnione z waleniami, morświnami i delfinami, hipopotamy nie potrafią pływać, a jedynie brodzą po płyciznach, odciażając w ten sposób nogi i chroniąc się przed palącym słońcem.

Jak o bezpieczeństwo chodzi, to mniej szczęścia mamy przy pierwszym bliskim spotkaniu ze słoniami – olbrzymy postanowiły przejść przez rzekę, nic sobie nie robiąc z obecności naszej blaszanej łupiny. Sternik cofnął łódkę, a wielki słoń przedefilował obok nas, niemal ocierając się o burzę. Kiedy był w najgłębszym miejscu, woda podeszła mu

pod same oczy, a gdy zaczął się wynurzać, na jego ciele pozostała wyraźna i równa „linia wodna” – do połowy grzbietu zwierzę było czarne, a powyżej grafitowoszare.

Delta Okawango

Rzeka Okawango tworzy największą śródlądową deltę świata – wody rozpraszają się na powierzchni 15 tys. km kwadratowych i wsiąkają w pustynię.

Z okien awionetki widać, że rzeka w końcowym odcinku zwalnia coraz bardziej bieg, tworząc rozlewiska i podmokłe wyspy porośnięte trawą i trzciną. W dalszej części bagniska stają się coraz mniej grząskie, aż przechodzą w stepowo-pustynny obszar Kalahari. W dole dostrzegamy rzadko rozsiane nieliczne stadka żyraf i słońi, co każe się zastanowić, ile zwierząt pasło się na tak rozległym terenie choćby sto lat temu.

Z bliska, gdy przemierzamy płycizny delty w popychanych przez krajowców żerdziami dłubankach *mokoro* rozcinających dziobami trawy, szuwary i sitowie, otoczenie przypomina obrazy z sonetu Wieszcza: „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu, Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi, Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi...”

Przybijamy do rozległej wyspy i ruszamy z tropicielem na poszukiwanie zwierzyny, ale znajdujemy jedynie odchody – przewodnik, rozgrzebując je z lubością wyjaśnia, że na podstawie kąta ścięcia niestrawionych resztek gałązek drzew

można poznać, które „placki” są pozostałościami słoni, a które nosorożców. Większość z nas wierzy mu na słowo!

Wielkie Białe Miejsce

Powierzchnia Parku Narodowego Etosha, leżącego w północno-środkowej części Namibii, wynosi ponad 22 000 kilometrów kwadratowych. To obszar równy niemal całemu państwu Izrael.

Do lat '60 ubiegłego wieku park Etosha był największym rezerwatem przyrody na Ziemi, liczącym 100 000 km kwadratowych – prawie jedna trzecia powierzchni Polski. Pod wpływem nacisków politycznych zmniejszono go do obecnej wielkości, ale i tak żyje tutaj na wolności 114 gatunków ssaków, 340 gatunków ptaków, 110 gatunków gadów, 16 gatunków płazów i... jeden gatunek ryb.

Z okolic Maun w Zimbabwie wjeżdżamy do parku od wschodu, więc pierwszy nocleg wypada nam w obozowisku Namutomi, nad którym góruje niemiecki fort z czasów kolonialnych.

Podczas gdy kucharz Gladman przygotowuje z pomocnikami kolację, reszta nas sposobi się do zapadającej szybko podzwrotnikowej nocy. O szóstej rano, kiedy otwierane są bramy obozowiska, czekamy już w ciężarówce przed szlabanem, żeby wyruszyć na objazd wschodniej i środkowej części parku.

Safari w Etoshy jest mniej emocjonujące od tego w Matobo Park, gdyż nie opuszczamy pojazdu, ale to nie

znaczy, że nie dostarcza wrażeń. Co i rusz widzimy stadka niemal śnieżnobiałych słoń, które nie są jednak przedstawicielami nowego gatunku wielkich ssaków, a ich niezwykle kolor jest wynikiem tego, iż dla ochrony przed słońcem zwierzęta wytarzały się w kredowym bloku – „Etosha” znaczy „Wielkie Białe Miejsce”.

W parku jest mnóstwo zwierzyny. Obserwujemy żyrafy, elandy (największe z antylop), oryksy o długich, cienkich, ostrych rogach, zebry, krętorogie kudu, białobrzuche springboki i małe gazyle dik dik. Wokół kręcą się hieny, z natury przygarbione i spoglądające na wszystko wilkiem. Podskakują ptaki-sekretarze.

Piliani zatrzymuje ciężarówkę przy wodopoju. Kilkaset zwierząt zgromadziło się wokół błotnistego stawu. Największą atrakcją jest dla nas przyglądanie się pijącym żyrafom – te najwyższe obecnie na Ziemi zwierzęta nie potrafią przykłęknąć, zatem rozstawiają bardzo szeroko przednie nogi, by dosięgnąć wody, co przy ich długich szyjach wygląda groteskowo.

Po południu, mocno zmęczeni i pokryci białym kurzem zajeżdżamy na kamping Halali, gdzie spędzimy noc. Jutro kolejne półdniowe safari po Etoshy, dające nam ostatnią szansę na ujrzanie afrykańskich kotów.

Na lwy by...

Ponownie o świcie opuszczamy bramy obozowiska, i tym razem szczęście nam sprzyja – po godzinnej jeździe

natykamy się na środku drogi na trzy wylegające się w słońcu lwice. Piliani zatrzymuje ciężarówkę, wszystkie szyby w oknach idą w dół, trzaskają migawki aparatów i szumią kamery.

Lwice wstają niechętnie i leniwie odchodzą w busz, gdzie widzimy resztę stada – wielkiego samca o potężnej grzywie, kilka małych lwiątek i kolejne samice. Widać wyraźnie, że lwy mają umorusane na czerwono pyski – to efekt nocnego polowania, chociaż nie udaje nam się nigdzie wypatrzeć resztek ofiary.

Najedzone zwierzęta nie zwracają na nas większej uwagi – król dżungli przewraca się z boku na bok, tarza na grzbiecie, uderza w zaloty do jednej z lwic. Jego umizgi zostają uwieńczone powodzeniem; po pewnym czasie lwica, otrzepawszy się, odchodzi, a przywódca stada wraca do swego leniuchowania.

Najaktywniejsze są lewki, które rozpiera młodzieńcza radość – wojują między sobą, zaczepiają samice, łażąc po nich, ale szerokim łukiem omijają lwa, który spoczywa samotnie w monarszym oddaleniu.

Po ponad godzinnej obserwacji stada ruszamy na poszukiwanie lampartów, ale jazda wielotonową warczącą i klekoczącą ciężarówką nie jest najlepszym sposobem podchodzenia tych czujnych zwierząt, musimy więc zadowolić się widokiem kolejnych stad żyraf, kudu, zebr i słoni. Spośród tych ostatnich dwa nie całkiem dojrzałe męskie osobniki próbują seksu... ze sobą. Są w widoczny

sposób podniecone i większy z podrostków usiłuje raz po raz wspiąć się od tyłu na mniejszego, ale pomimo odgrywania przez nie ról dojrzałego samca i samicy, z pantomimy tej nic nie wynika.

Już po opuszczeniu granic parku dochodzi do niecodziennego spotkania – kierowca zatrzymuje ciężarówkę w poprzek drogi i naszym oczom ukazuje się kobra mozambijska. Gad wznosi głowę z rozłożonym kapturem i przygląda się nam, przyglądającym się jemu. Po chwili wąż „kładzie uszy po sobie” i wijąc się zygzakiem znika w przydrożnych trawach.

Ciarki przechodzą mnie na myśl o tym, że podczas każdej „przerwy technicznej” w drodze, poszukując odosobnienia, buszujemy w podobnych chaszczach!

Kociaki

W drodze do wodospadów Epupa na rozdzielającej Angolę i Namibię rzece Kunene zatrzymujemy się na farmie gepardów, które mają nam zastąpić „niewidzialne” lamparty. Z dwóch terenówek obserwujemy karmienie półdzikich kotów, chwytających w powietrzu rzucane im krwawe ochłapy mięsa i walczących o nie między sobą. Widok jest piękny i groźny.

Okolice malowniczych wodospadów zamieszkuje pasterski lud Himba; to część Herero, którzy atakowani przez Nama uciekli w 1870 roku do Angoli, skąd powrócili w 1920 r. Teraz przedstawiciele, a zwłaszcza przedstawicielki Herero

i Himba różnią się tak, że trudno bardziej – pierwsze ubierają się na modłę byłych niemieckich kolonistek Afryki Południowo-Zachodniej, a drugie właściwie nie ubierają się wcale – na ich strój składa zmieszana z tłuszczem ochra, którą nacierają całe ciała, przepaska biodrowa i bransolety. Kobiety są niezwykle piękne, zgrabne i o bujnych piersiach. Jedno plemię Himba zamieszkuje otoczoną boną wioskę składającą się z kilku do kilkunastu chałup skleconych z gałęzi drzew, liści palm i bydlęcych odchodów. Te ostatnie, zalegając wszędzie grubą warstwą, odpowiedzialne są za gnębiący tubylców „kaszel krowiego łajna”.

Za możliwość odwiedzin w wiosce płacimy olejem, mąką i konserwami. W zamian możemy zaglądać we wszelkie zakamarki, wysłuchać historii plemienia i sfotografować się z pięknymi, półnagimi tubylkami. Życie Himba, trudne i niewiele różniące się od bytowania ludów pierwotnych, jest zagrożone – planowana od 1996 roku budowa zapory na rzece Kunene ma doprowadzić do zalania 300 km kw. okolicznych terenów, pozbawiając paszy 100 tys. sztuk bydła, podstawowego źródła żywności Himba.

Smród i mgła

Jedziemy do leżącego w sercu Damaralandu Twyfelfontein znanego z petroglifów – liczących 2000 lat rycin naskalnych ludu San. Przedstawiają one słonie, nosorożce, lwy i żyrafy, ale także foki i ... rowery! To

stanowisko archeologiczne jest jedynym w Namibii obiektem wpisanym na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Gdy jedziemy ku Szkieletowemu Wybrzeżu, pogoda zmienia się gwałtownie. Zimne masy powietrza znad Atlantyku zderzają się z gorącym powietrzem kontynentalnym, co skutkuje całkowitym zachmurzeniem i mgłą. Wilgoć pozwala bytować na piaskach welwiczji, endemicznej roślinie żyjącej nawet 1000 lat, której nasiona zachowują żywotność co najmniej dwa razy dłużej.

Szkieletowe Wybrzeże zawdzięcza swoją nazwę wrakom statków – silne fale morskie i liczne płycizny spowodowały wiele katastrof morskich. Okazuje się, że zdradliwe miejsce czyha nie tylko na okręty – na naszych oczach nazbyt ciekawa jednego z wraków turystka z Kapsztadu zakopuje się samochodem w piasku. Uwalniamy ją z opresji; ma spore szczęście, że zatrzymaliśmy się tutaj, gdyż okolica jest bezludna, a telefony komórkowe nie mają zasięgu.

Droga wzdłuż brzegu Atlantyku doprowadza nas do Cape Cross – miejsca lądowania w XV w. Portugalczyka Bartolomea Diasa. Oprócz upamiętniającego ten fakt krzyża, atrakcją stanowi największa na świecie kolonia uchatki karłowatej. Są ich tysiące, a bijący od nich smród wręcz zabija! Ubrania przesiakają nim tak bardzo, że nadają się do wyrzucenia. Mimo to wytrzymujemy tam godzinę, przyglądając się fochym walkom i leniuchowaniu.

Niemieckie na niby w Namibii

Namib to najstarsza pustynia świata, licząca sobie 80 mln lat. Opady deszczu są tu znikome, ok. 10-14 mm rocznie! Zajmuje powierzchnię 130 tys. km kw., a jej nazwa w języku nama oznacza „olbrzymi”, albo „miejsce, w którym nic nie ma”. Oba określenia są jak najbardziej trafne.

Ze Swakopmund, kurortu bardziej niemieckiego niż niejeden ośrodek w Niemczech, wyruszamy z przewodnikiem quadami na podbój pustyni, która zaczyna się tuż za granicami miasta. Wjeżdżanie na wielkie wydmy i trawersowanie ich stanowi wielką frajdę, ale na myśl, że mógłbym się tu zagubić sam i pieszo, dostaję gęsiej skórki.

Jednak piesza wędrówka po piaskach dopiero przed nami. W drodze do Sesriem nasza ciężarówka mija tablicę informującą, że tedy przebiega zwrotnik Koziorożca, po czym docieramy do parku narodowego Namib Naukluft. Stąd, wcześnie rano, wyruszamy piechotą na Wydnię 45, ze szczytu której oglądamy wschód słońca. U podnóża wydmy leży Dolina Śmierci, strasząca kikutami obumarłych przed kilkuset laty drzew. Teraz panuje tu wielojęzyczny turystyczny rejwach, w którym na pierwszy plan wybija się język japoński.

Leżące nad Atlantykiem Lüderitz wygląda jak bawarskie miasteczko na brzegu Jeziora Bodeńskiego. Wrażenie pogłębiają zachowane tabliczki z pisanymi szwabachą nazwami ulic i firm. W tym otoczeniu czarnoskórzy mieszkańcy, choć są u siebie, wyglądają nieco nie na miejscu.

Obok Lüderitz leży Kolmanskop, „miasto duchów”, opuszczona w latach dwudziestych ub. wieku osada poszukiwaczy diamentów. Suchy klimat zachował znakomicie wszystkie budynki – szkołę, szpital, zabudowania administracyjne i domy mieszkalne, których podłogi pokrywają hałdy wszechobecnego piachu.

W drodze powrotnej do RPA, w okolicach Hobas, podziwiamy o zachodzie słońca Fish River Canyon. Jest to drugi co do wielkości kanion na świecie i największy w Afryce, głęboki na 500 m, długi na 160 km i miejscami szeroki na 27 km. Kilkudniowa wędrówka jego dnem to jedno z większych wyzwań survivalu.

Docieramy na kemping nad rzeką Oranje, która wbrew nazwie nie jest pomarańczowa, odznacza się za to inną niezwykłą cechą – nie ma w niej krokodyli, więc wolno tu pływać, z czego skwapliwie korzystam. Drugi brzeg rzeki to już RPA.

Dwa oceany

Kapsztad wita nas słoneczną, choć wietrzną pogodą. O siódmej wieczorem miasto prawie się wyludnia, a hotelarze barykadują drzwi. Nasz 20-osobowy oddział wyrusza śmiało na nocne zwiedzanie, po czym zasadza się w restauracji. Obsługa stara się wziąć nas głodem, więc pierwsze zamówione dania pojawiają się po trzech piwach i półtoragodzinnym oczekiwaniu, są za to smaczne i obfite.

Następnego dnia jedziemy na Przylądek Dobrej Nadziei. Kapsztad i okolice to bajeczne miejsce, wszędzie pełno kwiatów i zieleni, co po tygodniu oglądania piasku stanowi miły widok. Droga wiedzie przed podmiejskie dzielnice willowe. Domy i ogrody są piękne, choć szpecą je wszechobecne druty kolczaste i kamery bezpieczeństwa – znak, że przestępczość w RPA nie jest ani trochę przereklamowana.

Na samym przylądku wieje jak wszyscy diabli, co pasuje do dawniejszej nazwy tego miejsca – „Przylądek Burz”. W sąsiedztwo stojącej na skalistym cyplu latarni morskiej można dojechać kolejką linową, ale wspinamy się pieszo. Z góry rozciąga się widok na akwen, gdzie łączą swe wody dwa Oceany – Indyjski i Atlantycki. Dalej na południe już tylko Antarktyda.

Schodzimy na kamienistą plażę i robimy sobie zdjęcia przy tablicy: >>Cape of Good Hope, The Most South-Western Point of the African Continent, 18°28'26'' East, 34° 21' 25'' South<<. To najbardziej na południe wysunięty punkt naszej liczącej ponad 9000 km podróży – jutro zaczynamy powrót do Polski.

Mirosław P. Jabłoński